

Dzień wytchnienia.

Podczas gdy ojciec Roumegou, mający dziewięćdziesiąt pięć lat skończonych, siedział na progu swej chaty, śmierć przyszła po jego prostaczą duszę.

We wsi panował zwyczaj nadawania każdemu z mieszkańców przydomka, równoznacznego z jego główną zaletą czy wadą. W myśl tej zasady ojciec Roumegou został od młodocianych lat przezwany „silaczem” i jako żywo przez całe życie nie sprzenie-wierzył się swemu przezwisku, bo w rękach jego pług zdawał się być dziecinna zabawka.

Córka jego Julja-„Kłamczyni”, tak zwana dla kilku grzeszków młodości, sądząc, że ojciec śpi, chodziła na palcach w obawie zbudzenia siedzącego bez ruchu starca o rękach jakgdyby wyciosanych z tego samego drzewa, co laska, na której były zaciśnięte.

Wówczas dopiero, kiedy słońce kryło się omal za dolinę, Julja-Kłamczyni, spróbowała wyrwać ojca z głębokiego snu i zorjentowała się w fakcie, poszła, bez zbyteń pośpiechu naprzeciwko swego męża, wracającego z pola. Dojrawszy go zdaleka idącego z łopata w ręku, zawołała:

— Sidoine, wiesz? Ojciec umarł!

* * *

W dzień pogrzebu Julja - „Kłamczyni” otworzyła o świcie okiennice w swoim pokoju. Pierwsze promienie słońca rozprasały srebrzyste smugi mgły porannej; na migdałowem drzewie ptaki ćwierkały aż do zadyszenia.

— Sidoine — odezwała się Julja do męża — zanosz się na ładną pogodę, dzisiaj. — Chwała Bogu... ze względu na rodzinę.

Sidoine, golący się przed marnem lusterkiem, skinął głową, zmarszczył obrzymie, krzaczaste brwi i pociągnął nosem o kształcie kartofla. Gruba lza potoczyła się wzdłuż jego policzka, złośliwie cieniem bruzdę w pokrywającej twarz białej pianie.

W wigilję „kapitanowa”, Janka-„Wścibska” oraz parę innych sąsiadów poświęciło się i poszło uprzedzić członków rodziny nieboszczyka, mieszkających w okolicznych, o kilka mil odległych wioskach — dla zaoszczędzenia kosztów depeszy.

* * *

Kiedy kuzynkowie, siostrzeńcy, wujowie ciotki i stryjowie przybyli Julja - „Kłamczyni” pomyślała w duchu:

— Olaboga! Jakaż ich chmara!

Wszyscy nieomal przyszli pieszo, wielu z nich robiąc duży kawał drogi; przeczona Julja przeto przygotowała im wczasu coś nie do pokrzepienia, na dużym stole ustawivszy kilka butelek wina, brzuchate, dziesięciofuntowe bochenki chleba i wędlinę. Przyjęta swymi obowiązka-mi gospodyni domu, reagowała z pewną do-

zą zniecierpliwienia na rubaszne i szczodre uściski krewnych, odpowiadając ze zrezygnowanym potrząsaniem głowy na kondolencyjne frazesy:

— „Należało spodziewać się tego...” „Nie jesteśmy nieśmiertelni...” „Nieszczęście! Ani słowa! Z kośćmi dobry był człowiek...”

Nie mogła wszakże folgować wzruszeniu, zniewolona doglądać pieczenia sześciu kurcząt, kręcących się na rożnie, których zapach zlewał się z wonią wianków. uwitych z świeżych, różnobarwnych kwiatów.

Niezadługo bowiem goście będą głodni: po długiej drodze z domu do kościoła, po trzech następujących po sobie mszach, po bytności na cmentarzu i powrocie w południowej godzinie, kiedy słońce najsiarczyściej przypieka, wszyscy radzi będą zastać obfity, posilny i smaczny obiad.

Julja, mając sobe za punkt honoru godnie przyjąć swoją rodzinę, poświęciła w tym celu najokazalsze sztuki swego kurnika. Teraz baczne jej oko czuwa nad wszystkim.

— Sidoine — odzywa się do męża — nalewaj im wino w kieliszki. Ja sama wszystkim nie wydołam. Ale uważaj, byś mi nie wylał wina na obrus: nie puszcza w praniu.

Wielkie, chropowate dłonie biorą w swą władzę bochenki chleba, kręcąc go w duże kromki, poczem kompanja, milcząc, zajada chciwie.

Jedną z młodszych kuzynek jest, jak widać, pod silnym wrażeniem połyskującej chwilami z ciemnej alkowy orzechowej trumny Trzyma w drżącym ręku podany sobie chleb, nie śmiąc podnieść go do ust. — Ojciec jej, zabierając się energicznie do olbrzymiego kawała kiszki czerwonej, pyta zaniepokojony:

— Cóż to, Melarijo? Nie jesz? A to spacer ranny powinien ci być dodać apetytu!

Psy zaś szczęśliwe z takiego niezwykłego zamieszania i zgiełku, cisną się do stołu, szczekając, kręcąc ogonem i chwytając włot za skórki od kiełbasy, to ułomek chleba.

* * *

Ceremonja, jak ceremonja, odbyła się ze zwykłą swą kolcinością obrządków. Uczestnicy jej małymi gromadkami idą w drogę powrotną. Mężczyźni rozmawiają o filokserze i hodowli wołów, kobiety o smutnym życiu, nie zdając sobie sprawy że... potracają o filozofję.

Mała, ciemna kuchenka, pełna aromatu sosów, garnie wszystkich do siebie. Stół przybrany jak na bankiet. Brak tylko kwiatów. Stojąc z dużemi zylastemi rękoma złożonemi jak do modlitwy, wieśniacy szepczą pacierz za spokój duszy świętej pamięci ojca Roumegou. Poczem z pewną porywcznością odsuwają krzesła i siadają przy stole. Żołądki aż dygocą z zadowolenia na widok soczystych i woniących dań.

Nagle, Julja-„Kłamczyni” krzyknęła, podnosząc rękę do serca. Wszyscy kwapią się do niej.

— To ze zmartwienia — tłumaczy Sidoine za żonę.

* * *

Uczta rozpoczęła się w religijnym skupieniu. Julja - „Kłamczyni” nie zasiadła z gośćmi do stołu. Stojąc w kącie przy zlewie, zmywa naczynia.

— Ależ, Juljo! — mówi do niej Sidoine, podchodząc — to nie pora na mycie naczyń!

Lecz Julja nie przerywa roboty. Gdy żołądki zaspokoiono, goście wdają się w rozmowę. Nawykli do mówienia jedni do drugich o polu, zdaleka albo do zwierząt, mówią bardzo głośno. Jeden temat wywołuje drugi, aż przy kawie, dobrze po południu, niektórzy, podnieceni, skłonni są do sprośnych żartów nawet.

Co widząc Sidoine proponuje dla oświeżenia się obejść gospodarstwo.

— Nie puściecie się przecież w drogę, nim upał nie zelży — powiada. Julja myje ciągle naczynia, a kiedy Sidoine podchodzi do niej, mówi mu pocichu:

— Krzyknęłam, bo spostrzegłam się, że mi brak talerzy na zmianę; więc musiałam myć je w miarę potrzeby.

* * *

Rodzina zabiera się do odwrotu. Znowu serja uścisków, z oczyma łez pełnemi tym razem. Julja - „Kłamczyni” wyciera nos raz po raz. Każdy czuje się w obowiązku napomknąć o szlachetnych rysach charakteru świętej pamięci Roumegou — „Silacza” Julja - „Kłamczyni” zaś wybucha lkanieniem. Poczem krewni ze spuszczonei głowami oddalają się.

— Ile to jednak kosztuje taki dzień! — mówi Julja do męża w kilka chwil po odejściu rodziny — całe szczęście, że nie często się zdarza!...

Niech będzie lekka ziemia dobremu ojcu Roumegou, którego śmierć dała wszystkim tym prostaczkom dzień wytchnienia!

Tłum. Jotsaw.



Dela Lipińska, bohaterka filmu dźwiękowego polskiego p. t. „Moralność pani Dulskiej”.



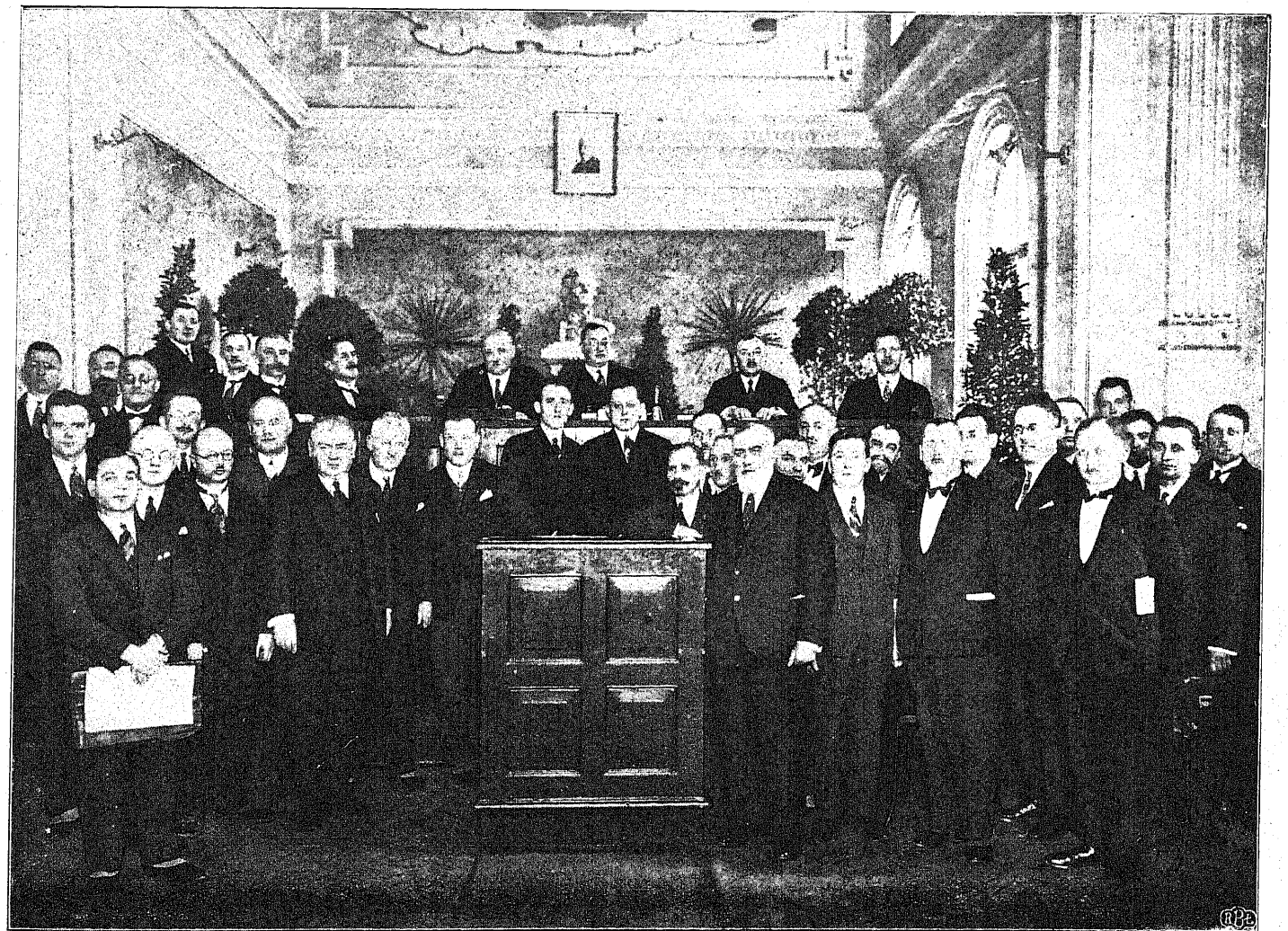
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VII.

Niedziela, 23 marca 1930 roku.

Nr. 12.

Zjazd statystyków miejskich w Łodzi.



W salach Rady Miejskiej.

Dwudniowe obrady statystyków, którzy przybyli z różnych miast Polski na zjazd do Łodzi zakończyły się uchwaleniem całego szeregu doniosłych rezolucyj. Między innymi przyjęto wniosek d-ra Michalewicza ze Lwowa w sprawie nadania władzom miejskim prawa przeprowadzania lokalnych spisów ludności oraz wniosek J. Derengowskiego z Warszawy w sprawie konieczności ujednostajnienia metod statystyki opieki społecznej. W drugim, a zarazem ostatnim dniu zjazdu, po dokonaniu wyboru komitetu wykonawczego na okres nowej kadencji rocznej przyjęto dezyderat, aby następny zjazd odbyć w Katowicach.

TEATRALJA.
„Don Juan” — Rittnera. — Zgon Romana Żelazowskiego. — Scena polska w Paryżu. Historyjka zabawna a prawdziwa.

Jakoś w sezonie bieżącym przypomniała sobie Warszawa o twórczości Tadeusza Rittnera i w krótkim odstępie czasu druga już z rzędu sztuka autora „Duchów w mieście” ukazuje się na scenach stołecznych. Po „Wilkach w nocy” w Teatrze Małym, wystawiono w Teatrze Narodowym „Don Juana”, z Osterwą w roli tytułowej, będącej nową kreacją świetnego aktora. Chociaż niektórzy zaliczają „Don Juana” do słabszych utworów Rittnera, jednak ta poetycko udratymatyzowana odwieczna legenda o nieśmiertelnym uwodzicielu, przetransponowana na język barwnej oryginalnej symboliki nowoczesności, posiada do dziś dnia — mimo pewne anachronizmy „secesyjnego” autorskiego stylu — dość wdzięku i uroku, by nie tylko zająć, lecz i — ująć inteligentnego widza.

Łańcuch przygód miłosnych Rittnerowskiego „Don Juana” kończy się jego śmiercią z rąk sekretarza — Leporela, któremu Don Juan — moderne uwiódł żonę. Sekretarz ten jest jedną z najciekawszych, bez wątpienia, postaci w piśmieniu scenicznemu Rittnera; ślepo oddany swemu panu Leporello, podziwiający z sercem pełnym zachwytu opowiadane mu dzieje miłosnych zwycięstw i triumfów. Leporello jest jakby czułym przewodnikiem erotycznych tęsknot i ekscytacji, przewodnikiem, którego działania nie rzuca wreszcie żonę sekretarza w ramiona „Don Juana”. Potęga czaru upoię, którym żył don Juan, zemściła się nań w końcu, w sposób wyrafinowany, zadaniem śmiertelnego ciosu...

Z wielkiej roli don Juana, składającej się zarówno z pierwiastków realistycznej komedji, jak z poważnej dozy elementów poezji, otaczającej w koncepcji Rittnera postać wiecznie tęskniącego uwodziciela, Osterwa uczynił prawdziwe arcydzieło, kładąc nacisk raczej na tę poetycką górnosc i bajkową zwierność kreowanej postaci. Dzięki takiej postawie aktorskiej głównego bohatera, cała sztuka Rittnera nabrała jakby nowych światła i blasków, czyniących z niej jedno z najpiękniejszych przedstawień Rittnerowskich w Polsce. Mocno zarysował się charakterystyczny talent p. Justjana, jako Leporella. — w drobniejszych rolach bez zarzutu sekundowali tym protagonistom pp. Gorczyńska, Halska i Bięgański. Godzi się wspomnieć słowem o dekoracjach p. Drabika, który zwłaszcza wnętrze pałacu Don Juana skonstruował w sposób budzący prawdziwy zachwyt publiczności.

W tych dniach zmarł we Lwowie, w wieku lat 76, znakomity artysta dramatyczny — Roman Żelazowski. Długoletnia jego działalność jako aktora i reżysera, rozpoczęta w teatrze krakowskim pod dyrekcją Koźmiana, upłynęła przeważnie w pracy dla sceny lwowskiej, na którą parokrotnie z dalszych wędrówek powracał. Przed wybuchem wojny Żelazowski był przez kilka lat głównym reżyserem i kierownikiem ar-

tystycznym warszawskiego Teatru „Rozmaitości” po wojnie opuścił na jakiś czas ukochany Lwów, aby zająć odpowiedzialne stanowisko w teatrach poznańskich. Była to już ostatnia misja artystyczna Romana Żelazowskiego, gdyż podeszły wiek, ciężka choroba starości i utrata wzroku zmusiły go do wycofania się w zacisze prywatnego już tylko życia. Żelazowski schodził do grobu, pozostawiając po sobie pamięć jednego z najznakomitszych aktorów polskich, o rozległej skali talentu i wielkiej sile posiadanych środków ekspresji. Poimnia Restituta, nadana mu za wierną dla sztuki rodzimej służbę, była tylko skromną cząstką tej wdzięczności i uznania, jakie dla świetnego artysty żywiło kulturalne społeczeństwo polskie.

Teatr polski w Paryżu, o którego pożytecznej działalności mieliśmy już okazję parokrotnie wspominać, wystawił w ostatnich tygodniach trzy sztuki, przyjęte przez polonję paryską z wielką i zasłużoną życzliwością. Zarówno „Ponad śnieg” — Żeromskiego, jak „Radcy pana Radcy” — Bałuckiego i „Moralność pani Dulskiej” — Zapolskiej wystawione zostały przez młody, pełen zapału i talentów zespół aktorski z dużym nakładem pracy i reżyserskiej inwencji, a na gorące słowa uznania zasługują przede wszystkim pp. Turońska, Zarembianka, Michałowska, Benda, Żeromski.

Sprawy plagiatów literackich, emocjonujące sfery nie tylko artystyczne są dość częste i głośne, niezawsze jednak, jak się po bliższym zbadaniu okazuje, oparte na destatecznie rzeczowych podstawach. Okazuje się bowiem nieraz, że krzywdzące dobre imię autorskie oskarżenia o niedozwolone „pożyczki” mają swe źródło raczej w ani-

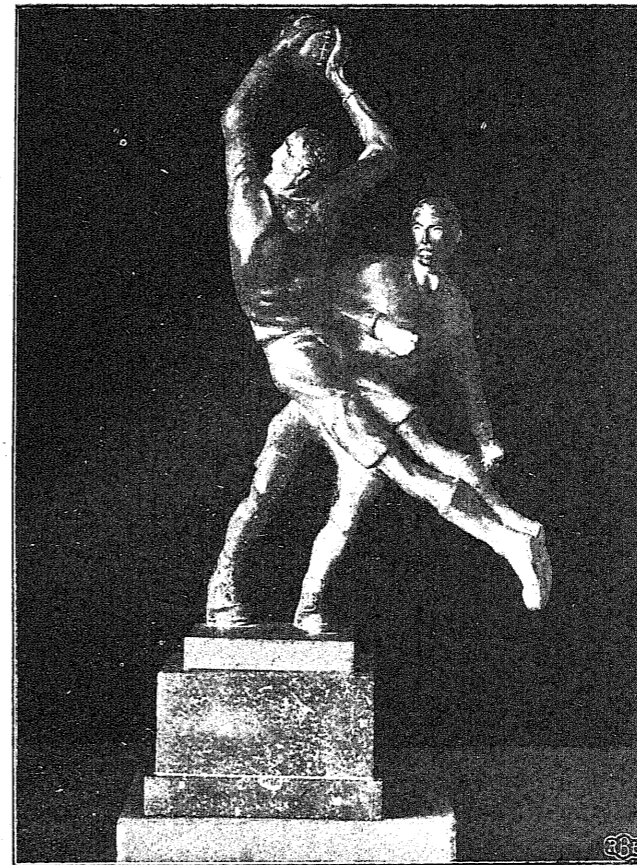
możkach i zawiściach osobistych, niż w argumentach obiektywnych i że w pewnych wypadkach oskarżenie zwrócić się powinno przede wszystkim przeciwko... oskarżycielowi. Pouczającą niezmiernie historyjkę na ten właśnie temat opowiadają dzienniki paryskie. Oto p. Maurice Rostand napisał niegdyś nowelkę p. t. „Człowiek, którego zabiłem”, a przerobiwszy ją później na sztukę teatralną — wystawił niedawno z poważnym sukcesem. Z tej okazji jeden z literatów paryskich, p. Marcel Sauvage ogłosił dość gwałtowny artykuł z oskarżeniem p. Rostand'a o plagiat, albowiem on, p. Sauvage, napisał był już dawniej nowelkę p. t. „Pierwszy człowiek, którego zabiłem”. Na to z kolei odezwał się poeta Fagus, przypominając ironicznie kłócącym się o własność autorską przeciwnikom, że temat, stanowiący osnowę obydwu nowel, „można znaleźć w powieści Oktawjusza Mirbeau p. t. „Calvaire”. Nikt jednak nie zaręczy, że ta powieść była pierwowzorem, bardzo bowiem możliwe, że Mirbeau przejął pomysł z piosenki Nadaud p. t. „Le Soldat de Marsala”. Czy można przysiąc, masuwa się w ten miejscu pytanie, że i Nadaud nie był „plagiatorem”, że jego piosenka jest całkiem własna i oryginalna? Trudno jest, doprawdy, nieraz w tych plagiatowych procesach dotrzeć do prąródła i ustalić niewzruszalnie stopień winy i odpowiedzialność każdego poszczególnego pisarza z pośród łańcucha niezawsze świadomych „plagiatorów”. A łańcuch taki bywa niekiedy, jak to widzimy choćby z powyższej historyjki o „Człowieku, którego zabiłem”, — dość długi, o gładzących we mgłę ogniach krańcowych...

Delta.



Wesoły zespół baletowy teatru Ziegfelda w Nowym Jorku występujące w filmie p. n. „Według litery prawa”.

Piękna statua



dla mistrza piłkarskiego sportowych klubów fabrycznych, wyobrażająca bramkarza podczas obrony swej świątyni. Mistrzostwa tego rodzaju odbywają się przy licznych udziałach publiczności.

Wręczenie nagrody odbywa się na jesieni.

Olaf Tunsen



nowy gwiazdor filmów dźwiękowych.

Nowootwarta poradnia lekarska.

przy Ośrodku Wychowania Fizycznego w Łodzi (Nowo-Targowa 24), gdzie pod kierunkiem znanego na gruncie łódzkim majora lekarza Kuryluka dokonywane są badania sportowców. Poradnia, jak widać z rozmieszczonego obok zdjęcia cieszy się nadzwyczajną frekwencją bowiem zapatrzona jest w najnowsze zdobycze techniki lekarskiej.



Ks. Gogolewski. w zaciszu domowym.



Ks. Gogolewski, wybitny filantrop i znany działacz społeczny, były rektor kościoła po-Dominikańskiego w Piotrkowie, a obecnie prefekt w Tuszynie pod Łodzią, ofiarował swój dom na własność Towarzystwu Literatów i Dziennikarzy w Warszawie. Zdjęcie tego domu podajemy na stronie siódmej.

Wycieczka dziennikarzy łódzkich

po „frudach” zwiedzania radiostacji odpoczywa chętnie wspólnie z dyrekcją „Polskiego Radja” w gabinecie restauracyjnym.

3-ci KONKURS

„Kurjera Łódzkiego”
dla naszych milusińskich

p. n.

„TYP DZIECKA POLSKIEGO”

W konkursie tym mogą wziąć udział wszystkie dzieci od lat 2—7, których rodzice winni nadesłać do redakcji „Kurjera Łódzkiego”

fotografie, oznaczone godłem,

nazwisko zaś imię i adres, winno być załączone w drugiej zamkniętej kopercie, oznaczonej tem samym godłem. Reprodukcje fotografii zamieszczane będą co tydzień w dodatku „Łódź w Ilustracji” w ilości od 12—20.

Gdyby fotografii w którymkolwiek tygodniu było więcej, kolejność umieszczenia nastąpi w drodze losowania.

Konkurs trwa do 1 kwietnia 1930 r.

Wszyscy czytelnicy mogą głosować na wybrany przez siebie typ wycinając odnośny kupon, znajdujący się w każdej niedziele w „Kurjerze Łódzkim”. Na kuponie tym należy wpisać tylko godło dziecka, na które się głosuje i w zamkniętej kopercie z nagłówkiem „Na konkurs” nadesłać pod adresem „Kurjera Łódzkiego”

Losowanie nastąpi w obecności członków redakcji po dniu 1 kwietnia 1930 r. Jako nagrody redakcja „Kurjera Łódzkiego” przeznaczona dla dzieci na które padnie zkolei największa ilość głosów:

I Kompletne ubranko letnie, składające się z garniturku, względnie sukienki, trzewiczków i kapelusika oraz żeton złoty.

II Rower dziecienny, względnie kółczyki słote oraz żeton srebrny.

III „Niezdobyta forteca” albo piękna lala i żeton brązowy.

IV „Krokodyl” lub wielka piłka gumowa.

V 6 książek w ozdobnej oprawie z bajeczkami ilustrowanymi.



Godło „Aniołek”.



Godło „Zyciel”.



Godło „Dziunia Motylek”.



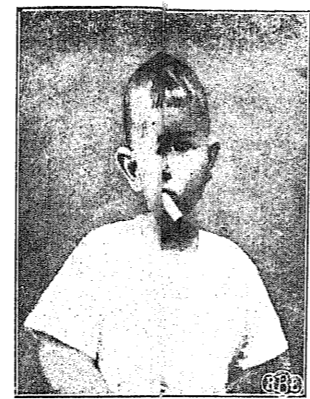
Godło „Pierrot”.



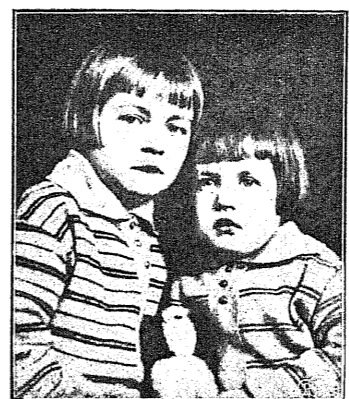
Godło „Nasz dziudzius”.



Godło „Smętek”.



Godło „ojtek”.



Godło „Złotowłosa”.



Godło „Jedynak”.



Godło „Zuch”.



Godło „Tulipanek”.



Godło „Iorek”.



Godło „Nasze bliźniaki”.



Godło „Romanek”.



Godło „Dzidzia”.



Godło „Mia May”.



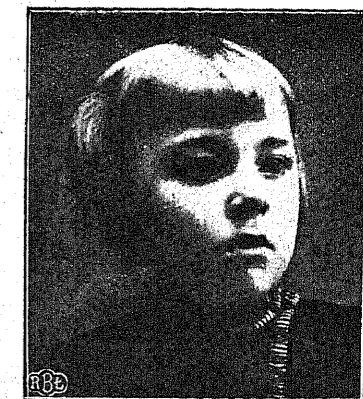
Godło „B Rysio”.



Godło „Stenia”.



Godło „Smutna sierotka”.

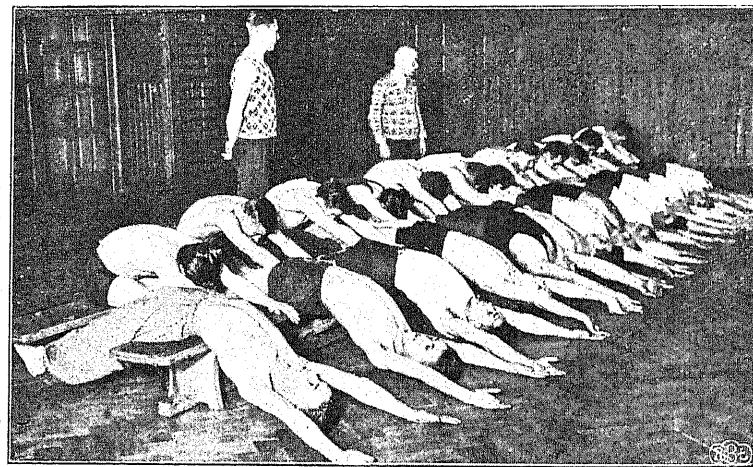


Godło „Nasza duma”.

Łódź pod znakiem sportu.



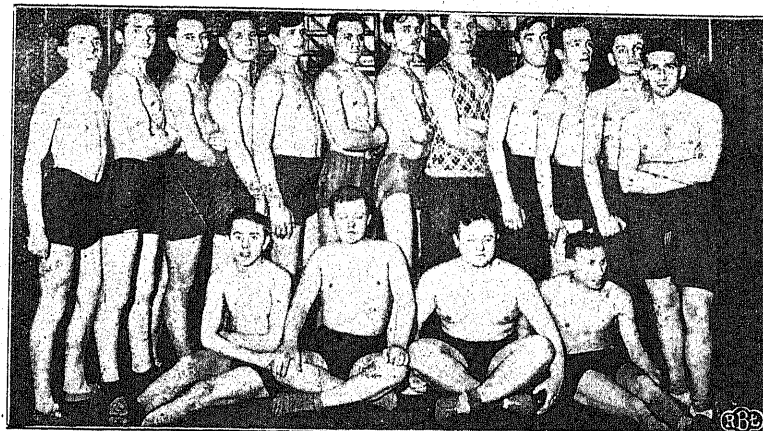
Ośrodek Wychowania Fizycznego w Łodzi nieustraszenie rozwija wśród młodzieży rozmaite dziedziny sportu. Kiernikiem Ośrodka, por. Wołkiewicz, przy wybitnej pomocy instruktora Łuchniała i innych, w myśl planowanego programu bez przerwy trenuje liczne rzesze zwolenniczek i zwolenników gimnastyki, która, jak wiadomo, jest fundamentem wszelkich gałęzi sportu. Na widok niezmiernie ćwiczącej młodzieży, czy to w meczach piłki siatkowej, czy też z zawodach bokserkich rozpięra mas dumą, iż młode pokolenie wyrasta w warunkach dostosowanych do tempa współczesnego życia. Szczególniej pamięć z pod znaku piłki siatkowej robią miłe wrażenie, a imponująca ich liczba jest żywym dowodem sportanckiego pędu do dalszego rozkwitu tężyzny duchowej i fizycznej.



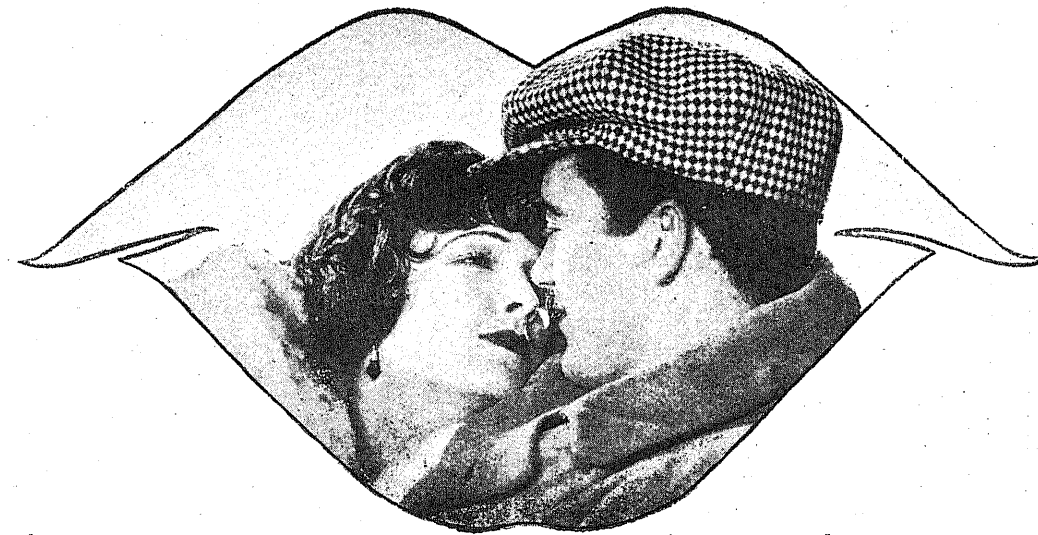
Cwiczenie kręgosłupa na ławkach.



„Dolce far niente” po ćwiczeniach.

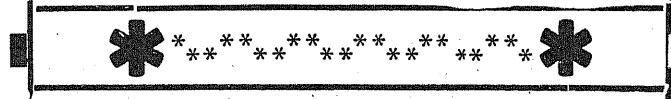


Groźni bokserzy.



Usta nigdy nie całowane.

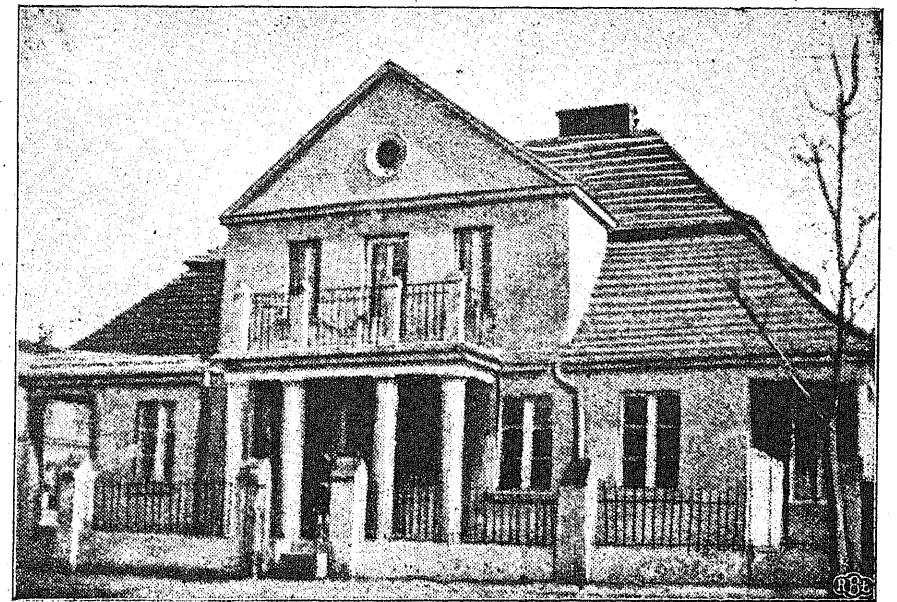
Oto tytuł nowego filmu z wioślarnią Marion Nixon i Charles Rogersem w głównych rolach. Obraz ten zbudowany dużym nakładem kosztów został entuzjastycznie przywitany przez miłośników X Muzy.



Domek w okolicy Tuszyna ofiarowany dziennikarzom warszawskim przez ks. Gogolewskiego, z nadchodzącą wiosną zaroi się z pewnością od miłośników pióra.



Peggy: — Wczoraj u mych stóp kęcał książę rosyjski.
Mary: — A ileż on liczy za czyszczenie obuwia?



MATKA.

Na krótko przed moim przyjściem na świat, rodzice moi opuściwszy swoją ojczyznę, Norwegię, wyemigrowali do Kanady, gdzie urodziłam się i wyrosłam. Wątpiła z natury i niezdolna, jak się matce zdawało, do pracy fizycznej, spędzałam poza nauką czas na włóczędze z naszym dużym psem myśliwskim po polach i lesie sąsiednim.

W najdalszym krańcu naszej farmy znajdowało się niewielkie, nawpół sitowiemem zarosnięte jezioro o małych sennych falach. Lubiałam to miejsce i często bardzo leżałam tam na trawie, czytając lub myśląc o niebieskich migdałach.

Tam też poznałam pewnego dnia, mając lat siedemnaście, Harolda Whittikera, który gwizdząc wesołą piosenkę, siedł brzegiem jeziora i raz po raz podnosił grudkę ziemi, przyglądając się jej uważnie. O mały włos nie potknąwszy się o mnie, zaczął przez praskać w tak ujmujący sposób, że przezwyciężyłam wrodzoną nieśmiałość i wdałam się z nim w rozmowę. Dowiedziałam się tym sposobem, że został wysłany przez jedną z wyższych szkół rolniczych dla zbadania części składowych tutejszego gruntu.

Pierwszy raz wówczas widziałam matkę moją płaczącą, kiedy wszakże zbliżywszy się do niej, próbowałam pocieszyć, odepchnęła mnie szorstko, spałkowała moją skromną garderobę do kuferka i tego samego jeszcze wieczora odesłała mnie nocnym pociągami do swojej siostry w New-Yorku, mój ojciec wrócił z pola do domu...

Od owego dnia spotykaliśmy się codzień przy jeziorze. Od Harolda Whittikera usłyszałam po raz pierwszy, że jestem ładna, w ostatnim zaś tygodniu jego pobytu w naszej okolicy, kiedy rodzice moi spali snem kamiennym po ciężkiej pracy, schodził się z nim nocami przy jeziorze. Księżyc w pełni tylko i srebrzyste gwiazdy na niebie były świadkami naszego szczęścia!...

Po wyjeździe Whittikera życie moje wydawało mi się smutne i ciche. Godzinami całymi przesadywałam na ulubionym naszym miejscu, myśląc o ukochanym i rozpamiętując krótki okres mojej idylli.

Po pewnym czasie zauważyłam, że nocne schadzki nie pozostały bez skutku. Surowy i badawczy wzrok matki potwierdził moje obawy i przyćmięta przez nią do muru przyznałam się do wszystkiego.

Pierwszy raz wówczas widziałam matkę moją płaczącą, kiedy wszakże zbliżywszy się do niej, próbowałam pocieszyć, odepchnęła mnie szorstko, spałkowała moją skromną garderobę do kuferka i tego samego jeszcze wieczora odesłała mnie nocnym pociągami do swojej siostry w New-Yorku, mój ojciec wrócił z pola do domu...

Półki życia nie zapomnę pobytu mego u ciotki, starej panny! Obchodziła się ze mną jak z przestępczynią, zmuszając do ciężkiej pracy domowej.

Kiedy, po kilku miesiącach spojrzałam w promienny lasur ocząt mego dziecka serce moje zabiło radośnie na widok wielkiego wielkiego cudu życia i nazwałam swoją córeczkę „Liv” — „życie” po norwesku.

Zelektryzowana wiadomością, że moje niemowlę ma być adoptowane i że przybra na jego matka przyjedzie po nie za tydzień, ze łzami w oczach błagałam ciotkę, by nie odbierała mi Liv, obiecując dniem i nocą pracować na jej i swoje utrzymanie. Lodo-waty wszakże wzrok niedobrej kobiety po-

Maskotka Hollywood'u, uroczą Clara Bow, jest najweselszą z usposobienia gwiazdą ekranu.

wiedział mi, że tu prosby nic nie pomoga i trzeba działać.

W nocy więc przed tym strasznym dniem po długiej modlitwie, jakkolwiek bardzo osłabiona jeszcze, spakowawszy swój kuferek, wzięłam dziecko na ręce i uciekłam.

Noc była dżdżysta i wietrzna. Z trudem trzymając się na nogach, poślizgnęłam się i upadłam. Przejeżdżający ciężarowem autem szofer podniósł mnie. Nic nie stało się dziecku na szczęście. Kiedy spyta, dokąd idę, zalałam się łzami i opowiedziałam mu swoją smutną historję. Zawiązał mi do siebie, mimo, że sam miał żonę i sześcioro dzieci, rodzina mieszkała w jednym pokoju z kuchnią i po troje dzieci sypiało stale w jednym łóżku.

Umieszczono mnie z dzieckiem na starej sofie i żywno miesiąc blisko. Byłam przecież zbyt słaba jeszcze, by wziąć się do pracy! — Okrzepnąwszy, oddałam moją Liv do dziennego przytulku, sama zaś poszłam szukać pracy, którą znalazłam nadspodziewanie prędko. Gruntowna znajomość mego macierzystego, norweskiego języka przyszła mi z pomocą. Otrzymałam bowiem posadę tłumaczki z o tyle dostateczną gażą, że mogłam wynająć sobie mały pokój i odwiedzić się z aczej rodzinie robotniczej za jej dobre serce.

Jakże się cieszyłam, kiedy codziennie po skończonej pracy zabierałam moje maleństwo z przytulku do siebie! A w niedziele i święta, mogąc je mieć od rana do wieczora w domu, nie posiadała się ze szczęścia!...

Zauważywszy, że gorące miesiące letnie nie służyły Liv, idąc za radą lekarza oddałam je na wieś do przytulku, mieszczącego się w byłym klasztorze otoczonym starożytnym, zdziczałym ogrodem. Odtąd spędzałam sobotnie popołudnia i niedziele w żłobku dziecięcym, gdzie stałam się zczasem dla mego pogodnego usposobienia pożądanym gościem. Działwa szczególnie, przepadająca za historjami i bajkami, które opowiadałam im, witała mnie zawsze radośnymi okrzykami.

Pewnej niedzieli, kiedy dzieci były już w łóżeczkach, ja zaś siedziałam jeszcze w ogrodzie, pani przełożona, rozumna i zacna kobieta, której zdanie ceniłam bardzo, podszła do mnie i oznajmiła mi, że znana mi siostrzyczka Mrs. Stillweg pragnie adoptować moją Liv.

— Za nic! — zawołałam oburzona — dałam jej życie i ona do mnie należy! Są inne dzieci w przytulku, o które matki nie dbają.

— Masz słusność, moje dziecko! — odparła przełożona całując mnie w czoło.

Następnej soboty spotkałam przełożoną w parku z elegancką damą lat około trzydziestu pięciu. Była to Mrs. Stillweg.

— Dawno już pragnęłam pomówić z panią — odezwała się do mnie miłym i dźwięcznym głosem — ażeby zwrócić jej uwagę, że takiej słlicznej i delikatnej dziewczynce jak Liv, należą się odpowiednie ramy. Jesteśmy bogaci i bezdzietni. Liv, naszą a-

doptowaną córkę czeka świetna przyszłość: przywiązałam się już do niej. Pani zaś jest tak młoda! Może pani wyjść zamaż i mieć więcej dzieci!... Dla dobra Liv, niech pani pomyśli nad tem.

Dla dobra Liv! Spędziwszy noc bezsennie, rozważałam te słowa. Czy mam prawo z egoistycznych względów odrzucać nadarzającą się memu dziecku sposobność zrobienia kariery w życiu? Nie! Dla Liv dobra powinnam wyrzec się jej! Oblawszy postanowienie to gorącymi łzami, zakomunikowałam przełożonej, że Mrs. Stillweg, wracając z Włoch będzie mogła zabrać dziecko.

Jednocześnie prawie poznałam w biurze adwokata Stefana Wowe.

Od pierwszego wejrzenia podobaliśmy się sobie wzajemnie. Po kilku wspólnych spacerach Stefan zaproponował mi wycieczkę autem w niedzielę. Zastanowiwszy się nad tem, że muszę przyzwyczać się powoli do rozłąki z Liv, przystałam. Ach, jak pięknie i cicho było w lesie! Lekki wietrzyk tylko szemrał w koronach drzew i gdzieś w oddali ptak śpiewał.

— Helgo! — szepnął Stefan — kocham cię! Czy chcesz zostać moją żoną?

— A jeśli ci powiem, że nie jesteś pierwszym mężczyzną na drodze mojego życia, czy będziesz mnie kochał?

Podniósł moją głowę, która nie wiem kiedy znalazła się na jego piersiach, spojrzał mi w oczy i odparł poważnie:

— Taką, jaką jesteś... kocham cię!

Odsunęłam się wówczas od niego i cichym głosem opowiedziałam mu moją idylę z Haroldem Whittikerem, nie wymieniając jego nazwiska i przemilczając o dziecku. Po co miałam mówić o Liv, kiedy Mrs Stillweg ją zabierze?

Stefan przybladł i oczy mu pociemniały.

— Biedne dziecko! — odezwał się po długiej chwili, biorąc zimną moją twarz w swoje duże, ciepłe ręce — jak drzysz! Zapomnij o bolesnej przeszłości! Przed nami przyszłość i jaka promienna!

W uniesieniu szczęścia zarzuciłam mu ręce na szyję.

Nazajutrz, stęskniona za Liv, poprosiłam szefa o urlop na popołudnie i pojechałam do przytulku. Córeczka moja przywitała mnie ze łzami w oczach, przy pożegnaniu zaś przytuliła się do mnie, łkając i szepcząc do ucha, jakgdyby w przecuciu rozstania:

— Mamusiu! Mamusiu! Zabierz mnie z sobą!

— Czyż nie jest ci dobrze, tutaj, dziecko? — Nie czujesz się szczęśliwa?

— Przy tobie tylko jestem szczęśliwa, mamusiu!

Spojrząwszy w jej smutne i załamane oczęta uczułam nagle, że nie oddam jej Mrs. Stillweg za żadne skarby świata. — Dlaczego ukryłam jej istnienie przed Stefanem? Pokocha ją z pewnością, jak ją pozna! Ach! Co za szczęśliwa przyszłość o-

twiera się przede mną z dwiema drogiemi istotami: mężem i dzieckiem!

Obiecawszy Liv, że zabiorę ją z sobą niezadługo, oznajmiwszy przełożonej, że z dzieckiem nie rozstanę się, wróciłam do miasta z mocnym postanowieniem niezwłocznie rozmówienia się ze Stefanem.

W domu zastałam od niego bilecik z wiadomością, że mam iść tego samego wieczoru z nim i jego znajomymi Bronsonami do teatru. Po przedstawieniu poszliśmy wszyscy do państwa Bronson na czarną kawę i papierosy, rozmawiając o sztuce, w której chodziło o nieślubne dziecko, które czarna niewdzięcznością przy płaciło swemu przybranemu ojcu. Stefan długo i z ożywieniem rozodził się nad tematem. Twierdził mianowicie niezłomie, na podstawie swej rozległej praktyki adwokackiej, że wszystkie dzieci nielegalnego związku są bądź fizycznie, bądź psychicznie upośledzone, niezdolne, trudne do prowadzenia i obciążone nadmierną pobudliwością zmysłową. Trzy ćwierci przestępców młodocianych — dowodził — rekrutuje się z pośród dzieci nieślubnych.

Każde słowo Stefana padało mi kamieniem w serce, a kiedy dodał jeszcze, że świeżo jedno małżeństwo uznane zostało za nieważne dlatego, że żona ukryła przed mężem istnienie swego nielegalnego dziecka, Stefan wydał mi się bezlitosnym sędzią!

Jaki będzie jego stosunek do mojej Liv, jeżeliby nawet, z miłości dla mnie zgodził się zostać jej przybranym ojcem? Kiedy nazajutrz wieczorem Stefan przyszedł i chciał objąć mnie, usunęłam się łagodnie, mówiąc:

— Nie miej mi za złe, Stefanie, lecz tyle się zmieniło od wczoraj, że nie mogę zostać twoją żoną.

— Co się stało, najdroższa? — Nie rozumiem cię! Zdawało mi się, że kochasz mnie!... Bądź szczerą, dziecko kochane!

— Kocham innego, Stefanie, którego dawniej kochałam — odparłam, spuściwszy nisko głowę, żeby nie mógł spojrzeć mi w oczy i wyczytać kłamstwo — myślałam, że to minęło!... ale... kiedy wróciłam... dziś rano!...

Stefan stał długo przy oknie, poczem odszedł bez słowa...

Dwanaście lat minęło od owego czasu. Nie wyszłam zamaż i Liv wynagradza mi sówicie moje poświęcenie. Jest jakgdyby młodszą moją siostrzyczką. Wszystkie swe drobne troski i uciechy dzieli zawsze ze mną, wypełniając mi sobą młodzież moją, pozabawioną miłości. O ojcu opowiedziałam jej z szacunkiem. Spotkałam go bowiem raz w biurze. Był u moich rodziców wkrótce po moim wyjeździe. Pięć razy wypędzany przez moją matkę otrzymał wreszcie za szóstym razem mój adres. Pojechał do New - Yorku, gdzie dowiedział się od ciotki o mojej ucieczce z... dzieckiem. Szukał mnie parę lat z rzędu daremnie i... ożenił się wreszcie.

Liv wspomina go ze czcią.

Thum. Jotsaw.



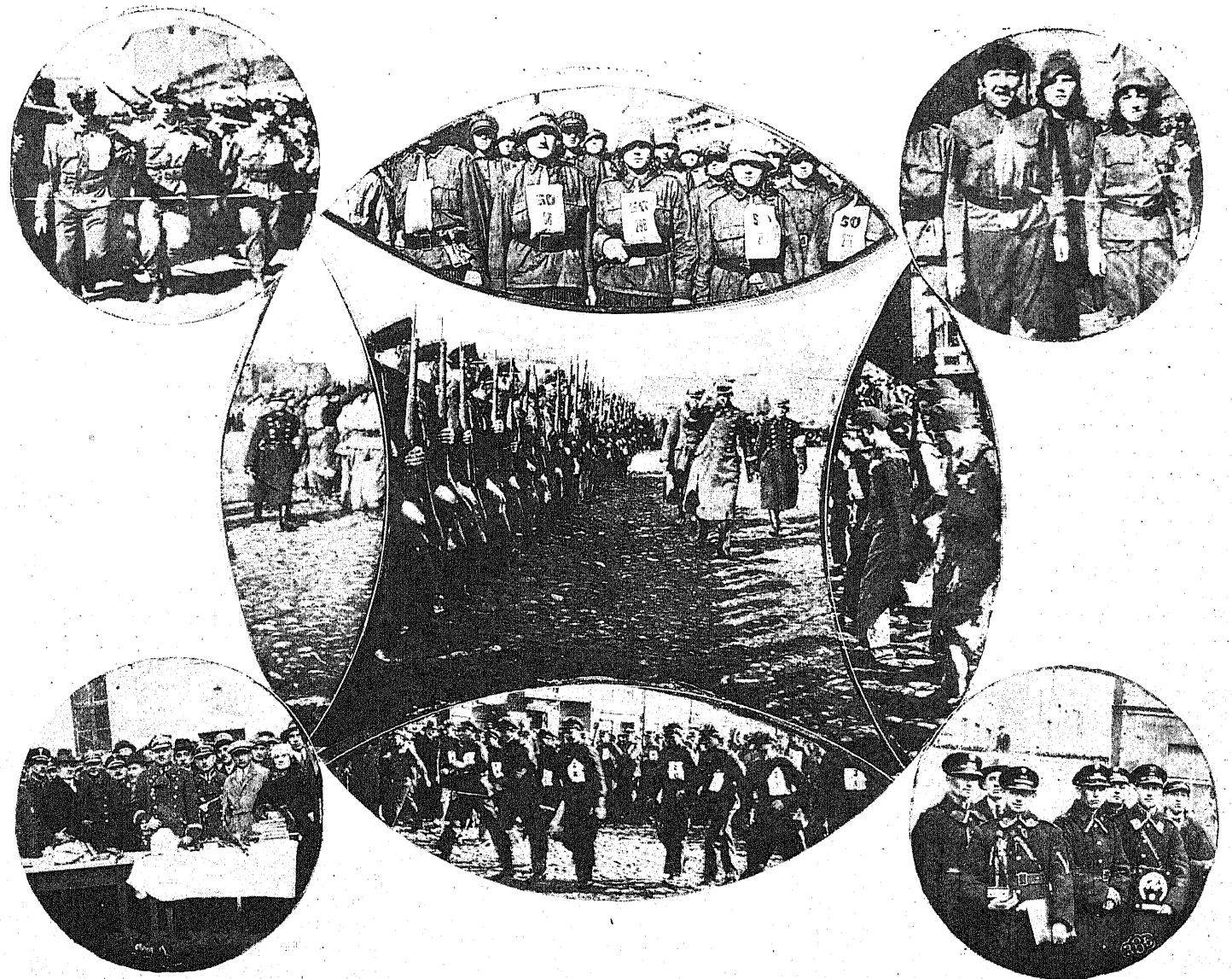
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 30 marca 1930 roku.

Nr. 13.

Na służbie tężyzny i zdrowia.



Polska zmierza ku przyszłości wszechstronnego rozwoju wielkimi krokami. Jedną z głównych dziedzin postępu jest fizyczne wyszkolenie, sprawność mięśni i ciała, kult zdrowia i krzepkiego pokolenia.

Wyrazem tego postępu był wielki marsz strzelecki, zorganizowany w dniu 19 b. m. na trasie Łódź — Zgierz — Aleksandrów — Łódź. Udział w marszu wzięły liczne zespoły strzeleckie, policyjne i wojskowe. Pierwsze miejsce zajęła drużyna Policji Państwowej w Łodzi. Na zdjęciu widzimy poszczególne fragmenty z marszu, zespoły drużyn, Komitet szeregowski oraz zwycięską drużynę policyjną.

Fot. Meyer. Tel. 108-81